

W. A. Łuczkiewicz.

Kilka słów o polskich pismach leśnych.

Polskich pism ściśle leśnych, wychodzących w formie miesięczników, mamy ogółem cztery*), z tych jedno przeznaczone jest dla niższych funkcjonarjuszów leśnych i gajowych. Organem Polskiego Towarzystwa leśnego jest „Sylwan" wychodzący we Lwowie, organem Związku Zawodowego Leśników w Rz. P. jest „Las Polski" ukazujący się w Warszawie, wreszcie w Wielkopolsce istnieje „Przegląd Leśniczy" wydawany w Poznaniu. Pismem przeznaczonem dla niższych funkcjonarjuszów leśnych i gajowych są „Echa leśne" wydawane w Warszawie. Z wyjątkiem „Ech leśnych" wszystkie wyżej wymienione pisma mają swe tradycje, jeśli nie bezpośrednie to odziedziczone („Przegląd Leśniczy") założony w 1876, „Sylwan" w 1880, „Las Polski" przejmuje tradycje dawnego „Sylwana" i „Leśnika Polskiego" wychodzącego przed wojną w Warszawie). Naogół najpoczytniejszem pismem leśnem z wymienionych, jest „Przegląd Leśniczy" rozchodzący się w około 1200—1300 egzemplarzach miesięcznie, po nim idą „Las Polski" z około 1000 prenumeratorów, „Echa Leśne" z tą samą ilością stałych czytelników, wreszcie „Sylwan", który osięga zapewne około 800 prenumeratorów. Przyjmując liczbę zrzeszonych leśników, za ogółem około 5300—5400 osób, zauważamy, że rozchodzi się wśród nich około 4000 egzemplarzy pism leśnych a zatem, że conajmniej 30—40% tych leśników pism nie prenumeruje, choć zapewne częściowo je czytuje. Czemu przypisać taką ilość nieabonujących pism zgadnąć łatwo. Brak gotówki, często gęsto zapomnienie, a po części też brak zainteresowania

Pomijane tu wydawnictwa takie, które dotyczą tylko spraw poszczególnych zawodowych interesów pewnych warstw leśników jak np. leśniczych i gajowych, zrzeszonych w pomniejszych związkach, a mających po części charakter lokalny. Pisma te zresztą nie zawsze stale wychodzą.

się i treść pism (wszystkim trudno dogodzić), oto najgłówniejsze do przyczyny braku prenumeratorów.

Ogólnie powiedzieć można, że łączna ilość leśników publikująca artykuły w pismach leśnych jest mała, jeszcze mniejsza jest ilość stałych współpracowników literackich, do tego stopnia, że garść ich można na palcach wprost policzyć Artykułów oryginalnych, opartych na badaniach naukowych jest bardzo nie wiele. Niektóre prace ściśle naukowe, spotykamy w „Kosmosie" lwowskim i w „Rocznikach" nauk rolnych i leśnych wychodzących w Poznaniu. Jest ich jednak niezmiernie mało w porównaniu do ilości prac publikowanych np. przez autorów zagranicznych w pismach zawodowych krajów sąsiednich. Pozatem zauważamy w pismach naszych prawie zupełny brak lokalnych obserwacyj, niezmiernie cennych dla postępu wiedzy. Zbyt często zaś czytamy o lasach zagranicy, mniej zaś o krajowych. Naogół nie łatwo jest zcharakteryzować tematy, poruszane przez poszczególne pisma. „Sylwan" ma po części przynajmniej charakter pisma ściśle naukowo-leśnego. „Las Polski" obejmuje w swym dodatku „Życie Zawodowe", sprawy dotyczące Związku Zawodowego Leśników, a sam jest pismem zawierającem przeważnie poważne artykuły naukowe. „Przegląd Leśniczy" jest pismem obejmującem bardzo różne zagadnienia, nie tylko leśne ale i łowieckie, belletrystykę łowiecką i leśną, przy artykułach ściśle naukowych. „Echa Leśne" mają, ze względu na swe przeznaczenie, charakter popularny i oświatowy. Pod względem rozpowszechnienia się, „Sylwan" ma najwięcej prenumeratorów w Małopolsce, mniej w innych dzielnicach kraju, „Las Polski" i „Echa Leśne" rozchodzą się głównie na ziemiach b. zaboru rosyjskiego, „Przegląd Leśniczy" znajduje prenumeratorów w przewadze w b. zaborze pruskim, a dalej w województwach wschodnich.

Spora część autorów artykułów, nie pobiera honorarjów autorskich, które wahają się od 12—25 gr. za wiersz, a mimo to, pisma leśne bardzo często wykazują deficyty, a to ze względu na swą propagandową taniość i bądź co bądź przyzwoity wygląd zewnętrzny, (okładka, druk, papier). Można śmiało powiedzieć, że pisma leśne egzystują głównie dzięki subwencjom rządowym lub ofiarnej pomocy spółdzielni leśnych je wspierających, które są albo ściśle związane z administracją pism, albo też popierają odnośne pisma jako swe organy. Deficyty powstają też z powodu nie opłacania regularnego prenumeraty, wzrostu cen i t. d. Prenumeraty wahają się od 14—18 zł. rocznie.

Po takim ogólnym i pobieżnym przeglądzie warunków w jakich się pisma znajdują, powinnoby się poruszyć sprawę potrzeby istnienia takiej ilości pism leśnych w Polsce, jakie posiadamy obecnie. Pod tym względem zdania są zazwyczaj podzielone. Zwolennicy centralizacji sił autorskich i finansowych upatrują

najkorzystniejsze rozwiązanie sprawy utrzymania pism w zjednoczeniu wszystkich pism leśnych w jedno. Przeciwnicy tej idei zjednoczenia uważają, że pisma powinny brać pod uwagę nie tylko sprawy dotyczące ogólnych zasad gospodarskich, lecz warunki w jakich się gospodaruje, a zatem pewne miejscowe okoliczności, a tem samem, uznają potrzebę kilku pism leśnych w kraju. Wreszcie dosyć znaczny odłam leśników uważa, że istnieje potrzeba trzech pism leśnych w Polsce, ściśle naukowego, popularnego o typie nieco rozszerzonych „Ech Leśnych", oraz propagandowego, obliczonego dla szerszych warstw społecznych. W tej grupie wyłaniają się również zdania, aby np. rozdzielić tematy artykułów na kilka pism np. hodowlane i urządzeniowe, dotyczące użytkowania i ochrony i wreszcie trzecie, obejmujące inne tematy leśno gospodarcze i informacyjne.

Jak widać różnorodność zdań jest znaczna; które z tych przekonań ma najwięcej racji, trudno orzec, każde bowiem ma pewne zalety. Ponieważ fuzja pism jest mało prawdopodobna przy obecnym stanie rzeczy, ze względu na różne ambicje, interesy zrzeszeń leśnych, trzeba się będzie pogodzić przynajmniej jeszcze przez pewien okres czasu, ze stanem obecnym. Czas zapewne sam zredukuje pisma lub ich ilość powiększy, zachowując te, które utrzymują się dzięki swej sile żywotnej. W chwili obecnej, żadno z pism nie jest w stanie prowadzić stałej pracy, zbliżonej ściślej do programu działania, z braku wyboru w tekach redakcyjnych. Wyczerpanie programu, byłoby zapewne nawet wtedy wątpliwe, gdyby nastąpiła fuzja pism w jedno. Zważywszy, że wymagania stawiane pismom są duże, nie tyle może pod względem poziomu (bo tem się interesuje może setka leśników) ile pod wzlędem rozległości i różnorakich tematów, powiedzieć można, że pisma nasze są w ogólności w dosyć ciężkiem i kłopotliwem położeniu.

Zbierając w jedno „pium desiderium", duży dosyś materjał życzeń leśników (życzeń na piśmie, w słowie), pozwalam sobie przedstawić, jakimi działami przynajmniej powinno się zapełniać pismo leśne, aby było poczytne. Z góry się zastrzegam, że nie mam zamiaru ani przez to tworzyć poradnika dla Redaktorów, do czego nie uważam się powołany, ani też nie wierzę bardzo w możliwość ścisłego i słabego przestrzegania poniżej przytoczonego szematu:

a) Artykuły oryginalne oparte na badaniach autora; odezwy, wezwania.
b) Artykuły kompilacyjne i informacyjne.
c) Sprawozdanie z wycieczek, uwagi, projekty, krótkie wiadomości zawodowe, polemiki, artykuły leśno-łowieckie.
d) Kronika ważniejszych wypadków w dziedzinie leśnictwa (nekrologja)

e) Nowe książki, pisma, i ustawy, skróty idei najważniejszych publikacyj i ustaw leśnych krajowych i zagranicznych, recenzje, krytyki.

f) Sprawozdania (skrócone) z posiedzień, zebrań działalności i t. d. związkowych, towarzyskich, spółdzielni, memorjały i rezolucje, ogłoszenia redakcyjne, towarzyskie i spółdzielcze, programy wykładów, spisy członków i t. p., ogłoszenia władz, wyniki egzaminów, awanse, przeniesienia, odznaczenia i t. p., leśne orzeczenia prawne sądów, pośrednictwo pracy, ogłoszenia cen drewna, narzędzi, nasion i t d., skrzynka pocztowa, różne, porady leśne, gospodarcze i prawne, ogłoszenia prywatne dotyczące prac naukowych i t. p.

g) Opowiadania, nowele leśn -łowieckie, poezje; ze świata rozrywki umysłowe,.

h) Ogłoszenia sprzedaży, ogłoszenia firm, i t. p.

Jak widać z powyższego zestawienia, pismo leśne jest siłą faktu, konglomeratem tak różno postaciowym, że trudno rzeczywiście utrzymać je w ramach tej objętości w jakiej obecne wydawnictwa ją praktykują.

W życzeniach leśników uderzają nas przedewszystkiem niektóre punkty działu (f) i dział (g), a więc orzeczenia prawne, porady leśne i in., opowiadania, nowele i t. d. Działy te, stwarzają może duży dysonans wobec poważnych artykułów naukowych, ale są wynikiem prakty znej potrzeby człowieka mieszkającego nieraz na odludziu i decydują w znacznej mierze o poczytności pisma przez szersze warstwy braci leśnej. Dlatego nie można nazywać pisma, które podobne działy posiada, „nie poważnem", raczej przesądem możnaby nazwać, nie traktowanie takich działów, tylko w obawie przed podobną oceną, zresztą najzupełniej nieuzasadnioną. Jeśli potrzeba podobnych działów istnieje, to czemuż nie czynić jej zadość, tem bardziej, że podobne działy mogą być zupełnie od pisma właściwego wyodrębnione pod postacią stałych dodatków. Że potrzeba podobnych działów istnieje, przekonać się można o tem łatwo, śledząc poczytność pism je zawierających. Zachodzi tylko kwestja co do objętości pisma. Przeciętnie miesięcznik zawiera $2^1{}_4$—$2^1/_2$ arkusza druku, formatu normalnego, t. j. około od 36—48 stron druku. Przy takiej pojemności pisma, trudno sobie wyobrazić pomieszczenie choćby po jednym artykule lub notatce z większości działów, biorąc już pod uwagę fakt, że nie zawsze pismo będzie mogło zawierać wypełnione wszystkie działy.

Zważywszy tą okoliczność, oraz to, że pisma aż nader często zbyt późno informują o różnych dosyć ważnych sprawach, dotyczących ogółu leśników, a przedewszystkiem zrzeszonych, *trzeba uważać dziś na potrzebę wprost nieodzowną stworzenie*

*z przynajmniej jednego pisma leśnego-dwutygodnika.**) Pismo leśne, wychodzące co 2 tygodnie, dałoby najświeższe informacje, pomieściłoby dużo materjału z poszczególnych wyżej wymienionych działów, mogłoby liczyć na znacznie większą poczytność, a obejmując np. $1^1/_2$ — 2 arkuszy druku byłoby stosunkowo nieznacznie droższe (około 21 — 22 zł rocznie). Z czasem pismo takie, mogłoby się nawet stać pismem dochodowem, pismem przyciągającem autorów wysokością honorarjów autor kich, a nawet kto wie, czy nie bezkonkurencyjnem, przy dobrej redakcji i stałych współpracownikach.

Pismo dwutygodniowe miałoby wreszcie jeden ważny cel na oku: usunięcie bierności wśród wielu leśników praktyków, bierności pod względem interesowania się sprawami ogólnemi i dotyczącemi wiedzy leśnej, a wreszcie działalności literackiej. Gdyby każdy praktyk rzucał choćby w krótkich słowach swe uwagi, dotyczące różnych miejscowych spostrzeżeń, to nie tylko, że sam by się pismem leśnem i pisaniem zainteresował, ale również przyczyniłby się do postępu wiedzy. Ileż bowiem takich uwag, nieraz nader ciekawych i trafnych, idzie na marne lub redakcje pism nie mając (w rzadkich zresztą wypadkach) miejsca, uwag takich zupełnie nie są w stanie umieścić?

Z pism leśnych, powinien wynosić leśnik czworakiego rodzaju korzyści, a mianowicie przyjemność i rozrywka, uzupełnienie swych wiadomości zawodowych (dokształcanie, oświata itp) pod postacią teoretyczną, korzyści praktyczne (zalecenia oparte na doświadczeniach, wskazówki, obserwacje), wreszcie informacje o sprawach zajmujących go jako człowieka — członka zrzeszenia i pracownika zawodowego (państwowego lub prywatnego).

Pismo leśne dające takie korzyści, może zawsze być pewne sporej liczby prenumeratorów we wszystkich szczeblach hierarchji leśnej i we wszystkich dziedzinach pracy zawodowej.

Miejmy nadzieję, że z czasem pisma nasze odznaczać się będą nie tylko wysokim jak obecnie poziomem, ale również rozległością tematów, stałością wydawnictwa i wyczerpaniem programu działania.

* * *

Zawarty w artykule p. W. A. Łuczkiewicza, projekt prowadzenia odnośnych działów w czasopismach leśnych uważamy pod względem popularyzacji fachowego piśmiennictwa, za bardzo dobry i z tego tytułu powinien on spotkać się z unaniem czytelników.

My zaś ze swej strony chętnie przychylimy się do życzeń naszych prenumeratorów.

Przy tej sposobności nadmieniamy, że w niedługim czasie przystąpimy do wydawania Przeglądu Leśniczego 2 razy w miesiącu, a gdy zajdzie tego potrzeba, to i częściej. Rędakcja.

---

*) A nie, żeby miesięczniki np. jak „Sylwan" (zazwyczaj z winy samych prenumeratorów) wychodził raz na 2, a czasem nawet na 3 miesiące.

W. DAKOWSKI.

Przyczynki do organizacji pracy w leśnictwie.

(Dokończenie.)

Praca kancelaryjna, rachunkowość, sprzedaże.

Systemów i metod prac kancelaryjnych, oraz rachunkowości jest u nas w kraju bardzo dużo. W ostatnim czasie w poważnych instytucjach leśnych poczyniono wiele zmian, nie zawsze szczęśliwych. Powstał chaos, w którym trudno się zorjentować.

Mojem zdaniem, najlepszem wyjściem, byłoby stworzenie komisji z trzech osób, złożonej z 2-ch leśników i 1-go buchaltera (rachmistrza). Komisja ta winna składać się z ludzi wybitnie zdolnych i władających przynajmniej dwoma obcymi językami. Powinni oni objechać i zapoznać się z systemami rachunkowości leśnej w Niemczech, Francji, Austrji i Szwecji. Nie do pogardzenia byłoby zapoznanie się z systemami rachunkowości w niektórych naszych, większych kompleksach lasów prywatnych w kraju. Po wybraniu najprostszego systemu i dostowaniu go do warunków miejscowych, możnaby dać system pożyteczny i łatwy w użyciu, a przedewszystkiem wymagający znacznie mniej pracowników.

Przyczem stworzyć należy najpierw system pracy kancelaryjno-rachunkowej u podstaw na gruncie t. j. w nadleśnictwach. Następnie należy dopiero dostosować system organów kontrolnych i nadzorczych.

Często spotyka się postępowanie wprost odwrotne. Stwarza się najpierw system kontroli organów nadzorczych, a dopiero później dostosowuje się system pracy rachunkowej u podstaw t. j. w nadleśnictwie.

Wydaje to opłakane skutki.

Co się tyczy sprzedaży, to leży w interesie uproszczenia rachunkowości urządzać sprzedaż jak najrzadziej (np. raz na tydzień) i o ile możliwe w jednym tylko miejscu (w nadleśnictwie), unikając przytem drobnych sprzedaży jedno lub dwumetrowej. Nie należy zapominać, że każda następna sprzedaż w ciągu tygodnia w innem miejscu, podwaja lub potraja pracę kancelaryjno-rachunkową.

Dział 2-gi. Hodowlany.

Zasadniczo wszelkie prace w lesie należy się starać przeprowadzać na wymiar (akord). Praca akordowa jest łatwiejszą do kontroli i naogół tańszą. Sprawdzać należy tylko jakość wykonanej pracy.

Przygotowanie gleby niemal wyłącznie wykonywać od hektara. Krótkie dnie jesienne zupełnie nie nadają się do pracy dniówkowej.

Wiosenne prace przy siewie i sadzeniu na zrębach oraz w rozsadnikach zmuszeni jesteśmy wykonywać na dniówkę.

Praca dniówkowa wymaga wyjątkowo starannie opracowanej jej organizacji oraz dozoru. Trudność organizacji potęguje używanie pracowników naogół niewykwalifikowanych oraz znaczne rozrzucenie miejsc pracy na dużych przestrzeniach. Złe lub dobre wyzyskanie ludzi, czasu i przestrzeni może spowodować znaczne straty lub też może przyczynić się do ich uniknięcia.

Przedewszystkiem na sesji leśniczych zostaje w ogólnych zarysach opracowany plan upraw, oraz omówione główne wskazówki. W ramach opracowanego planu leśniczy omawia z gajowymi program prac na najbliższy tydzień oraz podaje szczegółowe wskazówki dotyczące sadzenia i siewu.

Przed rozpoczęciem pracy na miejscu konieczne jest słowne i praktyczne pouczenie robotników, jak mają wykonać poleconą im pracę i sprawdzać czy zrozumieli ją należycie

Jak w każdej pracy, tak też przy uprawach leśnych wskazana jest specjalizacja. Przy przeznaczaniu robotników trzeba uwzględniać płeć i kobietom lub dziewczętom powierzać prace, wymagające delikatności i pieczołowitej dokładności, jak np. wyjęcie sadzonek, segregowanie i sadzenie.

Kobiety wykonywują te czynności z większą ostrożnością i dbałością o wszelkie, pozornie drobne, szczegóły. Mężczyźni i chłopcy wykonywać mogą motyczenie i przygotowywanie szpar drutem i t. p.

Robotników, przeznaczonych do pewnej pracy, nie należy zmieniać. Przy dłuższem wykonaniu jednej i tej samej czynności następuje dokładniejsze i szybsze jej wykonanie

Ważną okolicznością jest podział pracujących na pewne grupy z przeznaczeniem do jednego działu pracy. Jedna grupa np. pracuje przy motyczeniu gleby, następna przy sadzeniu, trzecia grupa donosi sadzonki, a czwarta wydobywa je z rozsadnika. Ilość robotników w każdej poszczególnej grupie powinna być ściśle dostosowana do potrzeb, by brak lub też nadmiar pracowników nie wpłynął na przymusową bezczynność sąsiedniej grupy. Przyczem, ze względu na dokładność dozoru, jedna grupa nie powinna się składać z więcej niż 40 ludzi. Dozorujący winien bacznie czuwać i w razie potrzeby przesuwać pracowników z jednej grupy do drugiej. Pozornie drobna strata czasu kilku lub kilkunastu minut — przy kilkudziesięciu pracujących może dać w sumie stratę nawet kilku dni. Żadnej grupy nie należy nigdy pozostawiać bez dozoru. Dozoruje przedewszystkiem ogólnie leśniczy, pozatem w jednej grupie gajowy,

w drugiej — inteligentny praktykant, w ostateczności wyznaczyć trzeba zdolniejszego i poważniejszego robotnika jako dozorującego grupy.

Pracy nie należy prowadzić równocześnie na wszystkich zrębach leśnictwa, lecz przechodzić z uprawami stopniowo z miejsca na miejsce. Lepiej jest prowadzić uprawy dłużej, lecz przy lepszym dozorze i wprawionymi, znanymi robotnikami.

Przenoszenie się z miejsca na miejsce (ze zrębu na zrąb) należy starać się uskuteczniać w porze wieczornej lub obiadowej (przyspieszając lub opóźniając porę obiadową) przyczem postępować szlakiem z góry uplanowanym, by tracić najmniej czasu na przejścia i nie wracać napróżno tą samą drogą.

Pracę dzieci (starszych) uważam za możliwą i pożyteczną. Pracują one z większą uwagą i przyjęciem się swoją czynnością. Najbardziej niedbali są podrostki — chłopcy.

Nadzwyczaj pilny dozór stosować trzeba przy dokonaniu p o p r a w e k, przyczem w celu ułatwienia dozoru należy zmniejszyć ilość robotników w grupach i postępować dwoma, trzema zmniejszonemi grupami.

C z y s z c z e n i e upraw z krzewów i traw prowadzić można na akord. Dozór w czasie pracy konieczny.

M e l j o r a c j e u p r a w, a przedewszystkiem główni e odwodnienie, prowadzić od metra sześciennego (m^3) wydobytej ziemi z rowów meljoracyjnych. Płaca od metra sześciennego nie zaś od metra bieżącego jest bardziej sprawiedliwą i łatwiejszą dla kontroli. Uprzednio należy przeprowadzić plan meljoracji w całem nadleśnictwie i znaleść główne ujście wód. Przy kopaniu rowów bez planu zdarza się często, iż po odwodnieniu pewnej części lasu następuje nawodnienie i zabagnienie drugiej.

Należy projektowane sumy wydatków dokładnie przekalkulować, mając na uwadze, iż wydatkowane sumy skapitalizowane do okresu rębności, mogą poważnie zaważyć na rentowności gleby leśnej, obniżając i tak niską jej stopę procentową. Często lepiej będzie zastosować środki mniej kosztowne lub ograniczyć ilość rowów, albo nawet przeczekać okres paru lat mokrych.

P r a c e z w i ą z a n e z o c h r o n ą p r z e d s z k o d l i w y m i o w a d a m i, prowadzić w miarę możności akordowo, tylko w ostateczności zmuszeni jesteśmy stosować pracę dniówkową.

Organizacja pracy przy poszczególnych rodzajach walki i różnych owadach, wymaga specjalnego opracowania.

Dział 3-ci. Eksploatacyjny.

Wyróbka materjałów drzewnych w lesie z reguły dokonywana jest na akord. Zrąb dzielony jest na pewną ilość działek oznaczonych słupkami z numerem działki i z nazwiskiem czołowego robotnika „piły" oraz z strzałką orjentacyjną. Organizacja pracy

samej, przy ścinaniu i wyróbce zdana jest indywidualnym zdolnościom i doświadczeniu samych robotników. Uczenie ich właściwego podziału pracy i dobrego wyzyskania sił ludzkich i czasu — nie jest stosowane w administracji leśnej. Sprawdzaniem dobrej lub złej organizacji pracy w „pile“ jest wynik wyrobionych przez nią ilości metrów w ciągu dnia. Wtedy nieudolne „piły“ powinno się usuwać od pracy. Wskutek takiej selekcji otrzymamy w lesie mniej „pił“, lecz o dobrej, sprężystej organizacji i pracujących z korzyścią dla siebie, jak również dla przedsiębiorcy lub też właściciela. Jeżeli ilość ich okaże się za małą wtedy zmuszeni będziemy przystąpić do uczenia robotników, a przedewszystkiem stworzyć trzeba dla nich ramy pracy.

Więc na wstępie konieczny jest podział zrębu na działki. Działki powinne być rozlosowane. Do ustawiania opału powinne być wytknięte wiechami proste linje. Żądać by „piła“ składała się najmniej z trzech, a lepiej z 4 ludzi, wskutek czego łatwiejszy jest podział pracy i sprawniejsze jej wykonanie. Wymagać codziennej, systematycznej pracy od wczesnego ranka do późnego wieczora, co przy krótkim dniu zimowym ma duże znaczenie.

Bardzo ważnym warunkiem jest dobór pił (narzędzi) z dobrej hartowanej stali oraz umiejętne „rozwiedzenie“ zębów oraz częste ich ostrzenie. Szczególnie ważne jest należyte „rozwiedzenie“ zębów przy przejściu z wyróbki drewna miękkiego do twardego lub odwrotnie. Niewiedza robotników w tym względzie jest przyczyną bardzo małej wydajności pracy lub nawet zupełnego jej porzucenia. Z drobnych szczegółów wskazane jest korowanie stojących pni do wysykości zasięgu rękami, przyczem równocześnie przy korowaniu dolnej części pnia sięgać skrobaczką głąboko w dół do dolnych partyj szyi korzeniowej. W ten sposób osięgamy równocześnie okorowanie pniaków.

Po obaleniu drzewa i oczyszczeniu z gałęzi, korujemy całą dłużycę do 7 m., a następnie wyrzynamy część użytkową oraz szczapy i okrąglaki. Te ostatnie t. j. szczapy i okrąglaki otrzymujemy już okorowane. Korowanie po wyróbce wymaga znacznego nakładu pracy i czasu.

Do korowania używać ostrych półokrągłych skrobaczek oraz wprawionych do korowania wyrostków — chłopców.

W celu podniesienia gorliwości pracy a przez to wydajności, wskazanem jest stosowanie premji (nagród) za wyrobienie materjału ponad oznaczone minimum dziennie (w terminie tygodniowym) lub też za szybkie, lecz dokładne wykonanie całej działki. Podstawowym warunkiem należytej wydajności pracy jest dobre wynagrodzenie. Naogół wynagradzamy robotników przy eksploatacji bardzo źle.

Zapominamy, że robotnik używa własne narzędzia, które często nabył za pożyczone pieniądze. Narzędzia te ulegają zużyciu

lub nawet przy wypadku — zniszczeniu, a przytem często powinny być ostrzone, klepane (siekiery).

Praca odbywa się w złych warunkach. Najczęściej zdala od wsi, na odkrytem powietrzu, w mroźny, wietrzny lub słotny czas, gdzie nietylko niszczy się szybko ubranie i obuwie, lecz i zdrowie pracownika.

Dobre wynagrodzenie robotników daje nam możność sprawiedliwej zapłaty za ciężką pracę, przyczem mamy podstawę do wymagania szybkiej i dokładnej pracy, robotnik pracuje chętniej i gorliwiej. Zwiększona płaca nie obciąży przedsiębiorstwa, gdyż przy kalkulacji cen drewna uwzględnić ją możemy.

Przedsiębiorstwo zaś zyskuje na czasie i dokładnej wyróbce. Czas do wyróbki oznaczyć należy na każdy zrąb od 2-ch do 4-ch tygodni. Z takim wyliczeniem by całkowitą wyróbkę w leśnictwie ukończyć do 1-go grudnia.

Wydawanie tygodniowych zaliczek uważam za zbyt uciążliwe, przedewszystkiem ze względów rachunkowych.

Zasadniczo żądać należy, by zrąb był ukończony w dwa tygodnie i zaraz powinna nastąpić wypłata. W ostatecznym razie po dwuch tygodniach należy wydać zaliczkę, a po skończeniu zrębu — uregulować ostateczną zapłatę

Ogromnie ułatwia wypłaty i rachunkowość wybór na zrębie jednego robotnika jako starszego. Jemu uiszcza się zapłatę i on kwituje odbiór, a następnie wypłaca poszczególnych robotników. Taki starszy, powinien być wybrany przez samych robotników i posiadać ich zupełne zaufanie.

Dział 4-ty. Nowe budowle, kapitalne remonty budynków, budowa i reparacja dróg.

Wszelkie prace wyżej wymienione powinny być dokonywane na wymiar (akord), przy ścisłym i częstym dozorze jakości wykonanej pracy. Zwózkę materjałów należy zarządzić w okresie przerwy w robotach polnych a równocześnie dobrych dróg. Forsowanie zwózki w czasie innym znacznie powiększa koszty dostawy. Budowę samą rozpoczynać wcześnie w maju lub czerwcu, nie odkładając do spodziewanej „pogodnej, długiej jesieni".

Dział 5-ty. Pozyskanie użytków ubocznych,

jak łowiectwa, użytkowanie kory, żywicowanie użytkowanie paszy i ściółki wymaga specjalnego opracowania. Tutaj narazie wspominam tylko o nich.

Dział 6-ty. Zakłady Przemysłowo-leśne

jak tartaki, fabryki suchej destylacji drewna a także cegielnie, wapienniki i t. p. podlegają w organizacji pracy metodom obo-

wiązującym w ogólnym przemyśle fabrycznym i dlatego na tem miejscu poruszać ich nie będę.

Skreśliwszy tych kilka uwag zdaję sobie zupełnie sprawę, iż są to pojedyńczo rzucone spostrzeżenia i poglądy, nie mogą więc obejmować całości. Nie roszczę sobie zupełnie pretensji do wszechstronnego, rzeczowego ujęcia zagadnienia, lecz chciałem dorzucić tylko garść zdań do ogniska, omawianego przedmiotu, który szczęśliwie zapoczątkował p. Bolesław Święcicki w artykule „Organizacja pracy w leśnictwie", umieszczonym w numerze 1-ym r. b. „Przeglądu Leśniczego".

Piszę to w tym celu, by chociaż w części zasłonić się przed zjadliwą krytyką w rodzaju artykułu p. B. umieszczonego w numerze 1-ym „Przeglądu", a złośliwych krytyków zapraszam do szerszego wypowiedzenia swych poglądów.

Tylko proszę rzucać nie we mnie, a . . . . do ogniska!

Inż. M. A. LIBERAK.

Pasterstwo w Tatrach Polskich.

(Ciąg dalszy).

Przy pierwszych udojach, każdy z dojących dwa, nawet trzy razy w czasie udoju, napełnia swą gieletę. Do udoju używają niekiedy malutkich stołków, czasami zastępują je rodzajem długiej wąskiej ławeczki, zrobionej z pokręconego świerkowego korzenia, najczęściej jednak siadają na kamieniach, które na ten czas przygotowują przy strągach.

Z chwilą wydojenia ostatniej owcy, najstarszy, po zastępcy halnik, staje i mówi: „Dość uboga wiać". Wtedy doganiacze stają przy stądze, podnoszą kapelusz w górę, mówiąc: „Panie Boże pobłogosław na jutro na rano wiać". Jeżeli udój jest ranny to zamiast „na jutro rano" mówią „na południe", w południe zaś „na wieczór". Słowo „wiać" w starej gwarze znaczy więcej. Tutaj przy zachowaniu dawnych zwyczaji utrzymało się ono w całej pełni.

Przed latami używano na halę koszul, zrobionych nieprzemakalnemi, przez napuszczanie ich owczem masłem. Koszule te miały bardzo szerokie rękawy, z których zwisały t. zw. strzępy to znaczy kawałki płótna, służące do zapinania na karku w czasie dojenia obu podkasanych rękawów. Zwyczaj noszenia tych koszul u nas zupełnie zaginął. Na Lubtowie można je jeszcze spotkać.

Opisany udój jest normalnym, za wyjątkiem tego, że przy pierwszym, o ile jest z gazdami, którzy wyprowadzili owce na halę,

następuje udój każdej gromadki osobno w kierdelu należącym do danego właściciela. Taki pierwszy udój, z natury rzeczy, dłużej się przeciąga. Wydoiwszy wszystkie owce danego właściciela, baca bierze w rękę gładki patyk i wkłada go do mleka w gielecie. Następnie wyjmuje patyk i w miejscu, gdzie mleko sięgało, robi nożem zacięcie. Patyk ten przełupuje się na dwoje wzdłuż tak, by połowa zacięcia widoczna była na obu częściach rozłupanego patyka. Jedną część oddaje baca właścicielowi owiec, drugą zachowuje u siebie. Patyków takich przygotowuje sobie baca uprzednio przed wyjściem na halę, tyle sztuk, od ilu właścicieli ma owce. Patyk taki nazywają zamirką, inaczej miernikiem W umówionym czasie, gdy właściciel zgłosi się na halę, wynajduje baca jego zamirkę, on zaś przynosi ze sobą swoją, obie wkładają do gielety, zamiast mleka wlewają wodę do wysokości zacięcia, następnie dolewają jeszcze siedem razy tyle wody i to ważą na najprostszej jaka jest w świecie wadze po odtarowaniu naczynia kamieniami lub innymi ciężarkami. Następnie wylewają tę wodę i w miejsce jej wkładają tyle sera by on równoważył ciężarki umieszczone po drugiej stronie. Ser ten stanowi wypłatę za owce dane bacy na paszę. Sposób ten to najstarszy ze znanych w Tatrach i nadzwyczaj rzadko już praktykowany. Obecnie przeważnie umawiają się na funty sera odrazu z góry, a w ostatnich czasach nawet już na kilogramy.

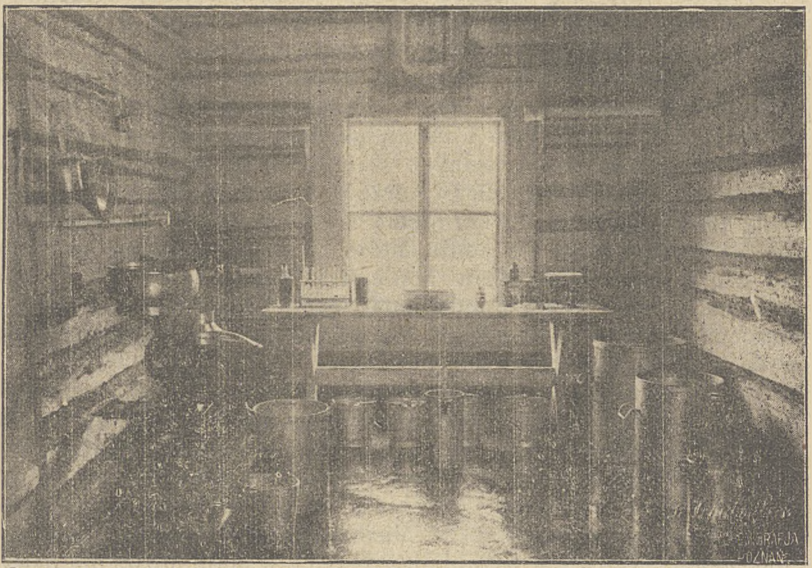
Zaczyna się praca bacy. Zdejmuje on z puciery szatę, żegna mleko, robiąc nad niem znak krzyża zważulą, następnie wlewa do mleka t. zw. klag, to znaczy podpuszczkę, robioną z cielęcego żołądka. Klaganie się mleka — znaczy ścinanie się go. Tak zwanym trzepakiem lub zważulą miesza szybko i silnie w pucierze by podpuszczka równomiernie się rozeszła. Trzepak albo zważula jest to długi kij, podobny kształtem do krótkiego wiosła, tylko z przeciętą podłużną szparą w środku pióra wiosła. Trzepak ten mniej więcej sięga wysokości piersi człowieka. Po chwili, gdy się zetnie ser, baca wybiera go i kładzie na kawałku płótna by ociekł. Ser przybiera w tym płótnie formę dużego bochenka chleba. Jest to tak zwany udój. Następnie zlewa się resztę zawartości puciery do kotła (kotlik), wiesza nad ogniskiem czyli watrą i gotuje.

Watrą nazywają właściwie całe ognisko wraz z otoczeniem. Samo ognisko z płonącemi polanami nazywa się watrzyskiem. Zawaternik jest to gruby kawałek drzewa, włożony między watrzyskiem, a kamienną podmurówką szałasu, który ciągle się tli i utrzymuje stale żar, by ogień na watrzysku nie wygasł, zwłaszcza by rozniecić go było można w nocy i rano. Zawaternik, gruby kawał drzewa, wystarcza przeciętnie na dwie lub trzy doby.

Gdy w kotliku zacznie wrzeć zdejmują go z łańcucha, na którym jest nad ogniskiem zawieszony i zbierają po przeżegnaniu,

tak zwanym cioskiem, wierzchnią warstwę żętycy, używając czasami warzechy t. j. dużej okrągłej na końcu łyzki z krótkim trzonkiem. Ciosek, jest to półokrągły kawałek deseczki, przymocowany do drążka. Do picia żętycy używają czerpaków t. j. skopków z charakterystycznem zagięciem ucha w górę do wieszania na pucierze. Ucho to jest często bardzo ładnie rzeźbione.

Do mycia czerpaków i innych naczyń używają cebrzyka, o wysokich brzegach, podobnego kształtem do gielet t. zwanego rajtaka.



Odbieralnia i myjarnia.

Do krajania sera używają noża bacowskiego. Jest to krzywy nóż, fałszywie na Podtatrzu, zwłaszcza przez przybyszów, nożem zbójnickim zwany. Wyrażenie to jest niewłaściwe, gdyż żaden zbójnik takim narzędziem nie walczył, chyba używał go do krajania sera lub chleba. Wygodny i praktyczny ten nóż służy do krajania wypukłych bochenków sera. Ser leżąc w szałasie u bacy, powoli kwaśnieje. Żętycę, którą nie zdołają wypić, zlewają do beczki i tu po pewnym czasie ona kwaśnieje i fermentuje, a przechowywana w chłodzie w gorętsze dnie daje orzeźwiający napój. Ser kwaśny względnie skwaśniały, ugniatają i przerabiają ze solą na bryndzę. Wyrobienie bryndzy jest ciężką pracą fizyczną, a dobre jej wyrobienie, wymaga stosunkowo dużo siły. Im ser lepiej ugnieciony i przerobiony, tem lepsza bryndza i dłużej ją można przechować.

Bryndzę do przechowania składają, ugniatając w beczki lub drewniane faski, podobne kształtem do dzieżek. Na wierzch często kładą owcze lub krowie masło. Jeżeli bryndza zaczyna się wzdymać, jest to dowodem, że następuje fermentacja, wtedy ją kilkakrotnie przerabiają. W wypadkach, gdzie skutkiem niedobrze wyrobionego sera, bryndza zaczyna się psuć, robią z niej małe bocheneczki, wielkości mniej więcej czterech dłoni dorosłego człowieka i kładą na deseczki na strychu koło komina. Dzieje się to jednak rzadko, gdyż bryndza dobrze wyrobiona i osolona daje się bardzo długo przechowywać. Gazdowie mówią, że najlepiej ona smakuje wzięta z beczki dopiero na Wielkanoc. Bacowie twierdzą, że najlepsza bryndza w Tatrach jest z udojów majowych, czerwcowa zazwyczaj się psuje, następnie dobrą jest lipcowa i sierpniowa. Przesąd ten dotyczy tylko samych baców, gdyż wspólnikom i innym gazdom, tym serem wypłacają owce, nie robiąc sobie żadnych skrupułów, że to ser czerwcowy.

Pozostałą po ważeniu i zbiorze żętycy, serwatkę, (zielonkawo żółty płyn) używają do karmienia świń, o ile je na szałasach mają. Często poją nią konie, które po pewnym czasie znacznie się poprawiają. Widziałem konia, tak nauczonego pić żętycę, zlewaną mu do wydrążonego pnia, leżącego koło szałasu, że sam podchodził co jakiś czas, by się jej napić, pogardzając czystą wodą w pobliskim potoku.

Charakterystyczną formą wyrobu owczego sera jest oszczypek. Dawniej był wyrabiany prócz oszczypka, także i brusek, specjalnie na hali Pysznej. Był on formą podobny do pełnego koła o wypukłych bokach. Dziś wyrabiają jeszcze bruski tylko na halach w Gorcach. Prócz tego wyrabiają także w Tatrach mniejsze serki, tak zwane u górali serca, niesłusznie przez letników parzenicami zwane. Pozatem wyrabia każdy baca w małej ilości dla dzieci lub na sprzedaż podobnie, jak wspomniane serca, sery rozmaitego kształtu, od których to kształtów biorą one swoje nazwy, a więc wyrabiają: kaczosie, kohutki, jelenie i t. d , często niezbyt do danych zwierząt podobne. Wyrób tych wszystkich serków jest następujący: ser po ociekni꧱ciu ugniata baca w odpowiednią formę drewnianą. Po wyjęciu z formy pozostawia go przez dwa do trzech dni w słonej wodzie. Następnie ser wędzą, układając go na drewnianych szczeblach koło watry lub na półce, gdzie się je co jakiś czas obraca. Przy wyrobie samych oszczypków są pewne zmiany. Forma zajmuje tu tylko środkową część oszczypka, to znaczy tą, która jest ozdobiona jakimś wypukłym wzorem. Baca rękami nadaje oszczypkowi z obu stron, stożkowaty kształt, przeciągając poprzednio przez cały oszczypek wzdłuż drut, na około którego przez ściskanie ścieka reszta żętycy Drut ten po ukończeniu wygniatania oszczypka wyjmuje, a na zakończenie wgniata w ser drewniane gwiazdki, które potem zdejmuje wraz z środkową formą.

Bruski były dwojakiego gatunku. Większe po 8, mniejsze po 4 funty. W Pysznej wyrabiano tylko 8 funtowe bruski, z których jeden przy powrocie owiec do domu dostawał stale proboszsz w Ludźmierzu, a drugi, dwór w Zakopanem. Oszczypki ważą zazwyczaj funt. Cztero funtowe bruski wyrabiano tylko na przeciwnej stronie Tatr na Podhalu, a mianowicie w Gorcach. Są bacowie, którzy na sprzedaż często wyrabiają trochę mniejsze oszczypki, nie mające funta, kupujący zaś nie zawsze się zorjentuje. Co do innych wyrobów, to waga ich nie jest określoną, są one jednak znacznie mniejsze od oszczypka.

Owce dzielą się na t. zw. dojki, to znaczy starsze owce, które się doją, a bacowie, jak również inni gazdowie, określając halę mówią: na tej hali jest tyle a tyle dojek, następnie jarki, czyli tegoroczne owce nie dojące się jeszcze. Pozatem są jeszcze tak zwane jałowe, czyli takie, które jagniąt nie miały i również się nie doją.

Na halach mają częstokroć owce przypasane na redyku dzwonki. O ile na redyk zakłada baca owcom jak największą ilość dzwonków, o tyle na halach tylko niektórym je pozostawia.

Dzwonki dzielą się na cztery rodzaje, a mianowicie: trzy pierwsze z nich, są to dzwonki zwane błędnie u nas alpejskiemi, gdyż najodpowiedniejszą dla nich byłaby nazwa dzwonki halne. Dzwonki te robione są z długiej wąskiej blachy, zwijanej z dwuch przeciwległych końców, a następnie na rogach po dwa razy znitowanej. W środku wygięcia znajduje się uszko do zawieszania. Dzwonki halne zależnie od formy i dźwięku dzielą się na trzy rodzaje. Pierwszy z nich, o ile cały dzwonek jest równoległy, nazywa, się „turczoniem" lub „turczulą". Taki sam dzwonek, o ile jest mały i cienki, o bardziej wydłużonym kształcie nazywa się „siekaczem". Trzeci rodzaj, to tak zwany „kłapacz", wąski od dołu, szeroki u góry i mający zawsze okrągłe gardło, to jest spód. Prócz tego jest czwarty rodzaj dzwonków, który nazywają „śpiżakami". Są to dzwonki spiżowe, zwyczajnie takie, jakich zwykle używają dla koni w sannym zaprzęgu.

Dzwonki mają u górali zupełnie swoistą termitologję, która im służy do określania ich części, gdy naprawiają dzwonek. I tak płaszcz dzwonka nazywają „blachą", w środku dzwonka wisi serce na szubienicy. Po zewnętrznej stronie dzwonka znajduje się ucho. Za ucho to przewleczony jest rzemień, przy pomocy którego przywiązuje się dzwonki krowie lub owcy na szyi. Otwór dzwonka, gdzie serce uderza, zowie się „gardło" względnie „gardziel".

Do transportu mleka z hal używają jucznych koni. Na takiego konia wkładają krótką derkę własnej roboty, lub kawałek chodnika utkanego w domowym przemyśle z resztek materjałów płóciennych, wełnianych i t. d. Na to nakłada się bardzo pry-

mitywne drewniane siodło, przypasane powrozem lub pasem do konia. Po bokach konia wieszają dwie duże, zupełnie płaskie drewniane baryłeczki, wyglądające niemal jak szerokie pełne koła, z otworem na obwodzie. Są to tak zwane obońki. Przy każdej obońce są z boku cztery otwory, przez które można przewlec powróz dla ich przywiązania.

Przy szałasach trzymają bacowie na łańcuchach liptowskie psy, w gwarze „luptowskimi" zwane. Są to owczarki (psy owczarskie), które tutaj także psami halnymi się zwą. Mieszańców tych psów z innemi rasami, które są nieraz o połowę niższe od owczarków, zowią psami pocztowymi. Skąd ta druga nazwa się wzięła tego nie wiem, lecz niejednokrotnie ją na halach słyszałem. W psach pocztowych przeważa jednak wybitnie rasa owczarska, tylko bardzo zdegenerowana. Rasa psów liptowskich, jest to rasa wybitnie dużych psów, o sierści półdługiej i o białym, szorstkim włosiu. Włos ten układa się gładko, czasami w niektórych miejscach jakby lekko zakarbowany. Głowa psa liptowskiego, jest typem głowy niedźwiedzia. Cechą tych psów jest kość nosowa, z małym zagięciem, niemal zupełnie prosta. Psy te, gdy dorosną, sięgają mniejwięcej wysokością głowy, spuszczonej ręki człowieka średniego wzrostu gdzieś powyżej przegubu. Sierść powinna być czysto biała bez jakiejkolwiek plamki, jakie prawie zawsze występują u mieszańców. Skóra pod sierścią powinna być różowa, tak samo na pysku i nozdrzach, Często zdarzają się tej samej budowy psy, mające czarny pysk i nozdrza, jest to mniej szlachetna rasa owczarków. Wszeikie inne psy z kolorowemi plamami, chociaż przez baców halnemi zwane, nie są prawdziwemi liptowskiemi owczarkami. U nas mało jest już tych psów i trzeba nieraz miesiącami szukać jedną sztukę tego gatunku. Szkoda, gdyż rasa ta jest nieocenioną w stróżowaniu domu, a po jakotakim wytresowaniu nadaje się bardzo dobrze do osobistej obrony. Najważniejszą rzeczą jest to, że świetnie znoszą nasz ostry klimat i ciężką nieraz zimę W terenach górskich poruszają się nadzwyczaj dobrze i wytrwale, pomimo swej wielkości i niezgrabnego wyglądu. Wyćwiczone doskonale tropią kłusowników. Dawniej walka z wilkami, a dziś jeszcze pilnowanie owiec i ich spędzanie w kierdel, jest ich zadaniem.

Wiele zalet straciły one przez stałe uwiązywanie na łańcuchach, co nastąpiło wskutek uregulowania serwitutów i zmniejszenia się terenów pasterskich. Tresura tych psów dla celów pasterskich, polegała w pierwszym rzędzie na tym, że małe szczenię puszczają między jagnięta. Przebywa ono z niemi zamknięte ciągle w jednej przegrodzie, wzrasta z niemi i staje się nieodłącznym towarzyszem owiec. Potem wychodzi razem z owcami na halę i niemal całe życie na krok od bacy, juhasów

i owiec nie odstępuje. Dziś za duże pieniądze można jeszcze kupić u baców liptowskich szczeniaki owczarskie. Często jednak są to już wysortowane sztuki.

W ostatnim roku zakupiono na Podhalu dość dużo szczeniaków niby liptowskich, jednak o ile niektóre widziałem, to prawie wszystkie musiały być prawdopodobnie mieszańcami, które ani częścią nie dorównują pod względem inteligencji oryginalnym psom liptowskim.

Twierdzę stanowczo, że psy te bezwarunkowo powinny być hodowane. Należałoby gdzieś na Podhalu założyć ich specjalną hodowlę. Są one po wytresowaniu bardzo dobre do osobistej obrony, tak, że nietylko bacowie, ale każdy strażnik leśny i łowiecki, zwłaszcza w czasie pełnienia służby i tropienia kłusowników, powinien mieć takiego psa przy sobie.

Dla dania wyobrażenia w jakiej cenie są te psy, zaznaczam tylko, że za szczeniaka i to niezbyt rasowego, dają bacowie jedną dojkę (owcę dojną), prócz tego dwa oszczypki i jeden litr wódki, względnie czystego spirytusu. Trochę większe szczenię kilkatygodniowe kosztuje od 50 do 100 zł. Pies zaś roczny, jest stosunkowo bardzo drogi i liczą za lichą sztukę około 150 złotych.

Psy te staczały dawniej krwawe boje z wilkami, o czem świadczą jeszcze niejednokrotnie znachodzące się tak zwane „kolce", czyli obroże na psy. Są to w dość ciekawy i misterny sposób skuwane kawałki żelaza, na których zewnętrznej stronie są ostre żelazne kolce, zwykle po dwa lub trzy na każdym ogniwie. Zależnie od wielkości kolców na ogniwach obroży, nazywali je podwójne lub potrójne kolce.

Niektórzy bacowie, tak byli przywiązani do hal, że nie schodzili z nich w lecie, będąc nawet chorymi. Baca, Jasiek Szymusiak na hali Stara Robota koło Doliny Chochołowskiej, mając 92 lata umarł na tej hali w ciągu lata. Pomimo rad otaczających go, nie chciał, będąc chorym, pod żadnym pozorem wrócić do domu. Wszystkie stare zwyczaje wiernie zachowywał, jeszcze w ostatnim roku przed śmiercią, przeglądał i poprawiał wszystkie kolce na psy, a psy w kolcach musiały zawsze wychodzić na halę, tak jakby się spodziewał napadu wilków, chociaż wiedział dobrze, że od długich lat nie było o nich słychać. Mówił on, gdy mu zwracano uwagę: „kto wie, może się niedźwiedź trafić". Miał on również starego ulubionego psa halnego, bardzo dużego, o silnie rozwiniętej piersi, muskularnej budowie, którego wołano „Flośko". Pies ten, w niedługim czasie po śmierci Bacy, zaczął zdradzać silne objawy wścieklizny, tak, że musiano go zastrzelić. Baca Stoch także umarł około 16 lat temu, na hali w Kościeliskach. Józef Staszel, z przydomkiem Mamczak, umarł także na hali w Kościeliskach w dwa tygodnie po wypędzeniu owiec w roku 1920. Tak był przywiązany do hali Smreczyny,

na której zawsze pasł owce, że chociaż żona i syn starali się wszelkiemi siłami ściągnąć go do domu, co byłoby go prawdopodobnie uratowało, nie chciał się zgodzić, hali nie opuścił, mówiąc, że woli umrzeć na hali, niż w chałupie. Wszyscy ci bacowie byli to ludzie starsi, ogromnie do hal przywiązani, na które z powierzonym im dobytkiem z dawnych lat rok rocznie przychodzili.

Niespisane prawa halne odnoszą się przedewszystkiem do określenia odpowiedzialności bacy za powierzone mu owce. I tak:

1. baca za zgubioną owcę na halach, musi zwrócić właścicielowi pełną jej wartość;
2. wrazie znalezienia głowy, lub skóry, z zaginionej owcy, płaci baca właścicielowi, tylko dwa oszczypki;
3. jeżeli owca zabije się na halach, to baca daje znać przez doganiacza właścicielowi i wzywa go, by sobie zabrał mięso z owcy, natomiast skóra z tej owcy pozostaje u bacy i zwraca on ją właścicielowi dopiero po ukończonej paszy na hali wraz z innemi żywemi owcami, licząc skórę tę za owcę;
4. każdy baca jest obowiązany znać i rozpoznać w każdej chwili każdą owcę i wiedzieć do którego właściciela ona należy. Jeżeli właściciel przy oddawaniu owiec bacy przed redykiem owiec tych nie poznaczy, to uczynić to jest obowiązkiem bacy. Najczęściej każda owca ma znak na uchu, charakterystycznie dla danego właściciela nadcięty, lub wystrzyżony kawałek ucha. W nowszych czasach znaczą niekiedy niektóre owce silnie wcieraną, niepuszczającą farbą między rogami, tak zwaną lubryką.
5. Baca może nawet owiec nie znaczyć. Bezwarunkowo jednak musi je wszystkie rozpoznać, nawet gdy juhasi przyniosą mu potarganą i porwaną skórę z owcy, podobną nieraz do zniekształconej bryły.
6. Zawsze w pierwszym rzędzie, przy każdym wypadku, czy to porwania i uduszenia owcy przez niedźwiedzia, czy to gdy owca spada i zabija się, baca ma przedewszystkiem odciąć ucho owcy, na którym miała znak. Ucho to obowiązanym jest schować i przy pierwszej bytności właściciela pokazać mu, a wtedy właściciel bierze je i niszczy, lub też baca zachowuje je i na osadzie pokazuje odpowiedniemu gazdzie.

Prawa te są tak dalece przestrzegane, że kilkakrotnie, gdy zdarzyły się wypadki nieporozumień zaszłych między bacami a gazdami, które oparły się o sąd, ten ostatni uznając tradycyjne zachowanie tych praw, wzywał któregoś z sąsiednich baców jako znawcę. Ostatni taki przykład wezwania bacy, jako znawcy do

sądu w tych sprawach, zdarzył się przed samą wojną w sporze między bacą a gazdami, na jednej z hal w Dolinie Kościeliskiej. Niedźwiedź, pomimo czujnej opieki bacy i juhasów, kilkakrotnie urządził sobie nocną ucztę. Z owiec tych znaleziono tylko głowy i łapy, a właściciele domagali się od bacy zwrotu całych owiec. Sąd nowotarski wezwał jako znawcę bacę z Tomanowej i po wysłuchaniu go, przyznał jako odszkodowanie normę tradycyjnie przyjętą, czyli po parze oszczypków od każdej, przez niedźwiedzia, zabitej owcy, gdyż oskarżony baca przyniósł wszystkie dowody, to znaczy resztki pogruchotanych owiec, które po dość żmudnym szukaniu wraz z juhasami szczęśliwie znalazł.

Karność i posłuch dla bacy lub jego zastępcy na hali są takie, że rzadko się zdarza wypadek, by baca wśród lata musiał jakiegoś juhasa wyrzucać. Praca juhasa, polegająca na ciągłym prowadzeniu, ganianiu i przeganianiu owiec, zwłaszcza w dnie wilgotne i deszczowe, nie należy do przyjemności. Młodsi juhasi, muszą za owcami przedzierać się przez obmokłe krzewy, śliskie usypiska, stąpać po mokrej darni traw na zboczach, przechodzić pola skręconej kosodrzewiny i szukać zabłąkanej owcy.

Rano po udoju wyruszają juhasi z owcami w częstokroć zamgławioną przestrzeń w dalsze części hali i dopiero w południe wracają, tak, że nieraz wyglądają jak przysłowiowi, legendarni tutaj płanetnicy, z których woda ciurkiem ma ociekać. Po udoju, nie obsuszeni jeszcze przy watrze, ruszają z owcami w dalszą wędrówkę, by znów namoknąć. Słoty na halach trwają nieraz po parę tygodni. Często wieczór i noc muszą juhasi przepędzić przy koszarze, pilnując owiec, które gdy czasem śnieg zaczyna padać, rozwalają strągi i całym kierdelem gonią w dół. Niejednokrotnie też w obawie przed niedźwiedziem muszą pilnować koszaru, leżąc na mokrej ziemi koło strągów. Owce, gdy czują niedźwiedzia niepokoją się, rozwalają strągi i drobnemi grupkami rozlatują się po całej hali. Gdy wśród słotnego dnia owca odbije się od kierdelu i zabłąka, juhasi o wieczornej godzinie idą jej szukać. Nie lekka to i niewesoła praca. Taka zbłąkana owca z początku silnie beczy za kierdelem, poczem coraz rzadziej, wreszcie kładzie się gdzieś zmęczona i zdezorjentowana, nie odzywa się zupełnie pomimo nawoływań. Takiej zabłąkanej owcy szukać można, nieraz będąc o kilka kroków od niej. Czasami w podobnych wypadkach pomocą jest dzwonek zawieszony u szyi zaginionej owcy, lecz gdy go nie ma, to sprawa jest gorsza.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W. HOLTEY.

Zagadnienia lasu trwałego w drzewostanach sosnowych.

Pan Profesor Dr. Dengler — Eberswalde oddał mi łaskawie do dyspozycji poniższy artykuł, w którym w nader ciekawy i pouczający sposób oznajmia swoje wyczerpujące wyjaśnienia odnośnie do obecnych zagadnień „o lesie trwałym“.

Ponieważ zapatrywania i sądy w tej ważnej sprawie w kołach naszych gospodarzy leśnych są dość rozbieżne, a często nawet fantastyczne, należy przypuszczać, że poglądy wypowiedziane przez tak miarodajnego autora, jakim jest profesor Dengler będą tem cenniejsze.

Otóż prof. Dengler pisze:

„Kiedy Möller opublikował w roku 1920 swoje rewelacyjne myśli na temat lasu trwałego, przytoczył jako dowód możliwości realizacji tego nowego sposobu zagospodarowania właśnie rewir sosnowy, osławione Bärenthoren, a znów Wiebecke w późniejszej swojej broszurze na temat lasu trwałego powoływał się obok Bärenthoren na rewir także sosnowy, a mianowicie na Eberswalde, licznym zdało się, że zaistniała nowa era dla gospodarki nosnowej wschodu, która miała odwrócić się zupełnie od zrębów szystych, wszędzie zaprowadzić drzewostany mieszane, a stopciowo, w coraz szerszym zakresie naturalnie odnawiane. Nic więc dziwnego, że myśli takie z pewną werwą i zapałem przez dwóch wybitnych mężów wygłoszone, odbiły się echem u wszystkich gospodarzy leśnych wschodu i obudziły nowe nadzieje.

U pewnej części z tych ostatnich był to bezwątpienia zapał i przekonywanie się do gospodarki indywidualnej, pozbawionej wszelkiego szablonu, a u innej części, szczególnie wśród właścicieli lasów prywatnych, była to nie ulegająca żadnej wątpliwości i zupełnie zrozumiała, chociaż bardzo niebezpieczna myśl podniesienia dochodów przez intensywniejszy wyrąb i zaoszczędzenie wydatków na zalesienia — jednem słowem „możliwość rąbania więcej bez konieczności zalesienia“, jak to poniżej określono zbyt wyraźnie. A czyniono to pomimo przestróg Möllera, Königa i innych, którzy nawet żądali od właściciela na początek *„rezygnacji“* która miała być dopiero wynagrodzoną, czyli z konieczności *zrezygnowania z dochodów pieniężnych w najbliższej przyszłości“* wraz *z „ofiarami“* na korzyść zapasu drzewnego. Z drugiej jednakże strony spotykało się u Wiebeckiego, pomimo niektórych również ostrzegających zastrzeżeń, pełną nadziei obietnicę: *roczne dochody bez wielkich kosztów przy stale ulepszanej glebie!* Ludzie nie musieliby być ludźmi gdyby nie słuchali chętniej tych obietnic, aniżeli przestróg. Ogólnie znana

anegdotka o rozmowie na dworcu szczecińskim w Berlinie dwóch właścicieli lasów, wracających z wycieczki naukowej do Eberswalde, dosadnie odzwierciadla ówczesny sposób myślenia pewnych kół. Podobno podsłuchano następujące słowa:

A do B: „Ja myślę, że E. ma las zagospodarowany sposobem lasu trwałego! *Proszę sobie wyobrazić, że jego leśniczy pomimo tego żąda od niego — pieniędzy na kultury!*" W tem leżało i leży jeszcze dzisiaj duże niebezpieczeństwo *błędnego zrozumienia, z którem jednakże przy ogólnym sposobie myślenia zresztą ludzkim i zrozumiałym oraz nieprzejrzystości działania systemu lasu trwałego na zapas drzewny jaknajpoważniej liczyć się trzeba!* Co setny znas jest może dopiero Kalitsch'em*), który dokładnie wie jak daleko pójść można z corocznem przerębywaniem swoich drągowin i starodrzewi sosnowych, bez uszczuplania przyrostu i nieznacznego narażania gleby obok na ździczenie oraz bezskutecznego czekania na glebochronne i uzupełniające naturalne odnowienie. Własne spostrzeżenia obok postronnych doniesień o tego rodzaju zapoczątkowanych i naturalnie z góry na niepowodzenie skazanych doświadczeniach pod względem zaprowadzania lasu trwałego na wielką skalę w lasach sosnowych wschodu, skłoniły mnie swego czasu do wyrażenia przestrogi, żeby naszych pieczołowicie wypielęgnowanych lasów sosnowych przez beztroskie prześwietlenie („Draufloskalitschen" jak się kiedyś Lüdersen trafnie wyraził) nie zdewastować i — sit venia verbo — zniszczyć.

W międzyczasie jednakże nastąpiło także krytyczne badanie faktów podawanych przez Möllera i Wiebeckiego, na podstawie których starano się uzasadnić myśl o gospodarstwie lasu trwałego. Möller starał się dla Bärenthoren stwierdzić przedewszystkiem trzy zasadnicze zagadnienia:

1. że gleba leśna była przed zagospodarowaniem lasu trwałego bardzo uboga *„przeciętnie IV. bonitacji"*, *że jednakże po 30-letniej gospodarce obecnego właściciela wydajność* jej odpowiada II. bonitacji;
2. że *zapas drzewny* w tym czasokresie prawie podwoił się;
3. że na skutek sposobu zagospodarowania nastąpiło we wszystkich starszych drzewostanach doskonałe naturalne odnowienie.

Stwierdzenie słabej bonitacji oparł Möller przedewszystkiem na starej taksacji z r. 1872, taksamo i ówczesny zapas drzewny rewiru. Przeciwko temu podnoszono już z najróżniejszych stron wątpliwości, ponieważ nie można było stwierdzić na jakich zasadach ówczesny taksator oparł swoje bonitowanie i w jaki sposób obliczył zapas.

---

*) Właściciel rewiru Bärenthoren (przyp. tłum.).

Wątpliwości te urosły do rozmiarów zupełnie uzasadnionego zarzutu w roku 1925, kiedy Wiedemann*) opublikował swoją rewelacyjną pracę, opartą na miejscowych badaniach *„Wyniki sosnowego lasu trwałego w praktyce“* **) i udowodnił że „opis taksacyjny i obliczenie miąższości były w roku 1872 opracowane nie przez wyszkolonego taksatora, lecz przez ówczesnego prywatnego leśniczego, zatrudnionego w tym rewirze oraz że już przy następnej rewizji w roku 1884 stwierdzić musiano, że taksacja z roku 1872 *wykazała dla poszczególnych miejsc za niską wydajność z hektara“*. Temsamem obliczenia bonitacji i zapasu drzewnego Möllera straciły naturalnie podstawę, na jakiej były oparte.

Na podstawie analiz pni oraz wywiercin, doszedł Wiedemann do wniosku, że już w roku 1884 przy zapoczątkowaniu gospodarstwa lasu trwałego „gleby lepsze odpowiadały według przeciętnej wysokości bonitacji ponad trzecią, a na przeciętnych siedliskach trzeciej, gleby gorsze trzeciej do czwartej bonitacji“. Oprócz tego liczne analizy wykazały, że gleby w Bärenthoren posiadają dużą zawartość miałkiego piasku, który według przeprowadzonych badań Prof. Alberta ma wielkie znaczenie dla świeżości gleby, co również dowodzi, że siedliska w Bärenthoren powinne były być już z góry zaliczone do trzeciej bonitacji

Co się zaś tyczy twierdzeń o wzroście zapasu drzewnego, to abstrahując od zupełnej niemożliwości stwierdzenia tego na podstawie niewiarogodnej taksacji z roku 1872 Möller przeoczył jeden moment, który zachodził w Bärenthoren, i który musiał wykazać nawet bez zaprowadzenia gospodarstwa podnoszącego przyrost o taką podwyżkę: w roku 1884 było mianowicie z 660 ha, 320 ha dopiero w klasie wieku 21—40 lat, a 180 ha zaledwie w klasie wieku 1—20 lat. Te 500 ha najmłodszych klas wieku figurowały w obliczeniach jako 00, ponieważ Möller brał w rachubę tylko zapas grubizny. W następnych zaś 30—40 latach drzewostany te musiały wykazać skutek zupełnie naturalnego przejścia do wyższych klas wieku, wykazać ich całą, jeszcze w poprzednich 10-cio leciach gromadzoną masę drzewną jako sumę zapasu grubizny!

Po tych wszystkich dzisiaj niezaprzeczonych i nie dających się zaprzeczyć zarzutach trzeba kwestję polepszania się siedliska, podwyższenia się przyrostu i zapasu drzewnego w Bärenthoren w tych rozmiarach jak to stwierdził Möller, uważać za obaloną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

*) Prof. Dr. Wiedemann najpoważniejsza siła naukowa z Tharandt'u w zakresie nauki o przyroście (przyp tłom.).

**) „Die praktischen Erfolge des Kieferndauerwaldes“ (przyp. tłom.).



LEON PĘSKI.

Polowanie na kozły.
(Ze wspomnień łowieckich).

Słońce zalewało gorącymi potokami mocno ogrzaną ziemię, lipiec w całej pełni dawał się odczuwać żarem i cudownym tchnieniem pełnego lata.

Od słonecznego skwaru w niektórych miejscach żółkła trawa, a ziemia pękając, wchłaniała życiodajne gorąco, przygotowując pokarm i siłę do przyszłych urodzaji; ziemia się zapładniała a z nią wszelkie żyjące istoty dawały życie i rozkwit przyrodzie.

Ruja sarn rozpoczęła się już od kilku dni. Postanowiłem zapolcwać na kozła przy pomocy wabia.

Wabić miał gajowy, stary Józef, który ten kunszt posiadał znakomicie, czyniąc to na specjalnie wybranym, szerokim listku trawy.

Wyruszyliśmy we dwuch na starą porębę, zrzadka porośniętą brzozą, sośniną i kępami dębiny.

Wybraliśmy wyschłe kępiaste błotko z wysoką pożółkłą trawą, porośnięte gdzieniegdzie skarłowaciałemi sosenkami.

Usiadłem pod taką sosenką, tuż obok mnie usadowił się Józef i rozpoczął wab, wydając ciche, piskliwe odgłosy sarny.

Wabił nie długo, silny kozioł szóstak ukazał się niebawem z poza gąszczu, na brzegu bagienka.

Strzał był nietrudny, to też zrulował na miejscu.

Polowanie to żadnej przyjemności mi nie zrobiło; spróbowałem jednak, chcąc wiedzieć i widzieć jak to się odbywa, lecz przyznam się, że spotkał mnie wielki zawód.

Za mało bowiem doznałem wzruszeń, nadzieji i oczekiwań, a ofiara myśliwskiej żyłki i tak wogóle bezbronna a tym razem jeszcze więcej, bo oszukiwana miłosnym głosem wzywającej sioty, zjawia się i stoje przed myśliwym kładąc w ofierze swe życie nie mogąc go obronić, ani szybkim biegiem, ani też skokiem w bok poza linję strzału.

To też więcej już na kozła w ten sposób nie polowałem, co zresztą może wydawać się dziwnym i niezrozumiałem dla większości myśliwych.

Lubię patrzeć na te piękne stworzenia, lecz wówczas żyłka myśliwska nie odzywa się we mnie, nie mam najmniejszej chęci zdobycia wspaniałych parostków, brak mi wprost ochoty do strzału, i o ile z pasją, iście myśliwską, tropiłem i upędzałem się za dzikami, wilkami i lisami, z prawdziwą werwą i zaparciem się oczekiwałem i podłaziłem do jelenia lub łosia, o tyle kozły uchodziły z pod mojej lufy bez strzału. To też w lesie swoim znałem wszystkie kozły, widziałem je zrana i wieczorem, a zdaje się, że i one mnie znały, bo nieraz patrząc w stronę gdzie stałem ukryty za krzakiem, nie ruszały się i dalej skubały trawkę. Koledzy moi nieraz, śmiejąc się, romantyzmem to nazywali i dziwili się, że sam nie polując chętnie odstrzał swych kozłów im odstępuję.

No, może mieli i rację może to i romantyzm, a może Św. Hubert nie chciał by z rąk moich padły strzały do jego wychowanków.

Na jednej z łączek codziennie regularnie, niemal jak gdyby według zegarka, zjawiał się pod wieczór wspaniały kozioł, a skubiąc trawkę nurzał się wśród zieleni, spokojny i ufny, że się mu nic złego nie stanie. Już było po skończonej ruji, postanowiłem więc wobec przeważającej liczby kozłów dać odstrzał kozłów memu sąsiadowi, zawołanemu myśliwemu, amatorowi wszelkiego rodzaju polowania i doskonałemu strzelcowi.

Poszedłem w oznaczonym czasie raz jeszcze ku łączce, a stąpając cicho po miękkim mchu, doszedłem do krawędzi lasu, gdzie z poza krzaków obserwowałem zwykle znanego mi kozła.

Jakież jednak było moje zdziwienie, gdy zamiast silnego szóstaka zobaczyłem przez szkło lornetki kozła myłkona o wyraźnym trzecim odrostku sztyletowatej formy, umieszczonym obok zwykle i normalnie rozwiniętych parostków.

Kozioł widocznie tylko co wszedł na łączkę, nie zatrzymując się bowiem w lekkich susach przeskoczył dalej zbliżając się w moją stronę.

Wiedziałem o nim, że znajduje się u mnie w lesie, że rozpędza mi stadka kaleczy normalnych kozłów, a nawet mówiono mi, że i siuty nosiły na sobie ślady jego rogów.

Zmierzyłem więc ze sztucera i dałem strzał, kładąc kozła na miejscu i choć to był myłkon, rozbójnik zawadjaka leśny, nie czułem żadnej satysfakcji w zabiciu go, chyba tę jedną, że jako zamiłowany hodowca pozbyłem się marnego reproduktora.

Piersi mojej nie rozsadzała duma z dokonanego dzieła, nie udekorowałem kapelusza zieloną gałązką i nie czułem wcale tych wstrząśnień radosno-nerwowych, które myśliwy odczuwa przy

celnym strzale do dzika zwłaszcza pojedynka, olbrzyma łosia, wilka lub nawet lisa.

Tak mi się to wydało skrytobójczem mordem, tak łatwym do podejścia i oszukania tego zgrabnego stworzenia, że nie widziałem nic pięknego w tym polowaniu na wychodnego na kozła.

Człowiek żyjący z naturą i znający zwyczaje leśnych zwierząt o ile zastanawia się nad pięknością stworzenia, nad pięknością samej natury, to mimowoli zadaje sobie pytanie, dlaczego on, ten król królów stworzeń na tej ziemi, jest właśnie tem największem złem, którego wszyscy i wszystko się boi i trzeba dużo pracy i wiele poświęcenia, by rzesza puszczy uznała w człowieku nie swego wroga lecz przyjaciela.

Silnego kozła szóstaka odstrzelił mój sąsiad i z jakimż entuzjamem i zachwytem opowiadał mi o tym fakcie, barwnie opisując podkradanie się do spokojnie pasącego się kozła, ulokowanie muszki sztucera na odpowiednim miejscu, sprawdzenie, że kula ani o włos nie chybiła lokując się, wedle wszelkich zasad myśliwskich, na komorze.

Rozmaite bywają zachwyty, rozmaite gusta i upodobania jak również i najrozmaitsze poetyczne opisy strzałów, danych do spokojnie pasących się kozłów.

Trudno, są gusta i guściki i na to prawidła żadnego być nie może; poezja służy nam do wypowiadania słowem pięknych czynów, zachwycających obrazów i pięknych trudnych i niebezpiecznych polowań, lecz i zarazem zwyczajnych, prozaicznych i wcale nie romantycznych strzałów.

Przy końcu października urządzałem zwykle polowanie z naganką na zające.

W miotach tych trafiały się czasem i sarny, do których rozumie się nie strzelano.

Otóż podczas takiego polowania, stałem pod grubą sosną oczekując szaraka, głosy nagangi dawały się już słyszeć coraz wyraźniej, strzały po obu moich stronach dowodziły, że zające zaczęły już wychodzić na linję myśliwych.

Wtem ujrzałem pędzącą w moją stronę sarenkę, która prawie dobiegłszy do mnie, spostrzegła mnie pomimo, że się nie ruszałem i w przestrachu rzuciła się w bok, uderzając się całym pędem o grubą sosnę.

Padła też nieżywa, ja zaś sprawdziłem, że był to młody szpicak i że miał głowę rozbitą od silnego uderzenia.

Dlaczego się tak przeraził, wszak się nie ruszałem, dostatecznie było widoku mego, widoku człowieka, by to biedne, niewinne zwierzę kompletnie straciło ze strachu orjentację i w szalonym biegu roztrzaskało głowę o pień sosny.

Podobnego rodzaju wypadki zachodzą dość często na polowaniach z naganką, gdzie spłoszone sarny, uciekając trafiają

na linję myśliwych i w szybkim zwrocie zabijają się, lub kaleczą o drzewa. Inny znowuż, nadzwyczaj orygilnalny wypadek zdarzył się z kozłem podczas polowania z naganką.

W zajmowanej knieji zamieszkiwał kozioł, wychowanek jednego z leśników, który tak był oswojony z ludźmi, że nietylko nie uciekał od nich, lecz przeciwnie atakował ich, wyskakując z nienacka z lasu na drogę.

Uprzedziłem więc wszystkich myśliwych, prosząc by do kozła nie strzelano, objaśniając jednocześnie o jego wojowniczych instynktach.

Obok mego stanowiska, o jakich kroków pięćdziesiąt, stał sąsiad nasz książę Trubeckoj, zamordowany przez bolszewików podczas wielkiej rewolucji rosyjskiej, chełpiącej się w swych początkach, że jest jedyną w świecie, przechodzącą wszystkie swe fazy bezkrwawo, a która skończyła się dziką, bestjalską rzeźnią, mogącą mieć miejsce tylko wśród ludzi tak strasznie kulturalnie nisko stojących, jakim był chłop rosyjski. Ks. T. korpulentny, niewielkiego wzrostu, stanął za krzaczkiem jałowca w oczekiwaniu na szaraki, wtem wolnym truchtem wysuwa się z lasu nasz rozbójnik kozioł, a zobaczywszy grubego nieprzyjaciela zniża łeb i rozpoczyna odważnie atak.

Ks. T. z początku odmachiwał się od niego strzelbą, lecz widząc, że obrona ta nie skutkuje, zwrócił się by dobiedz do obok stojącej, grubej sosny i za nią znaleść schronienie.

Nie obliczył biedak, że zwinność i szybkość kozła jest o welie większą od zwinności i szybkości jego krótkich nóg.

To też otrzymał potężny cios w tylnią część ciała i rozciągnął się na mchu w całej swej długości.

Pospieszyłem mu z pomocą obawiając się, by kozioł nie zechciał na leżącym przeciwniku wywierać swej zemsty i nie pokaleczył sąsiada. Biegnąc z rzutu strzeliłem do pomykającego szaraka, a spłoszony strzałem kozioł, rzucił swoją ofiarę i znikł w gąszczach.

Ks. T. chociaż pocierał swe szynki nie stracił jednak na humorze i przez dłuższy czas opowiadał wszystkim o swym oryginalnym spotkaniu i pojedynku z kozłem.

Inż. WIESŁAW SZCZERBIŃSKI.

Drapieżniki.

Panu Rożyńskiemu — w odpowiedzi.

(Ciąg dalszy.)

Widziano rzekomo dalej, że specjalnie tłuką kury. Kto przedewszystkiem ręczy za wiadomości ornitologiczne sprawozdawcy? Przyjmijmy to ostatecznie jako fakt — to kuropatwy

które myszołów był wstanie tłuc przy wysokim śniegu, byłyby w następnych 24 godzinach i bez niego uległy zimie. Musiały być już tak zgężałe, że nie mogły się ratować ucieczką. Co za znaczenie mają w tych warunkach „sukcesy“ z puhaczem? Strzału trzeba zaniechać!

A wrony? Czyż działalność ich jest inna, może być wogóle inna aniżeli myszołowów? Minął czas lęgu i młodej zwierzyny; na równi z myszołowami są to pozatem goście zimowi. Zdziesiątkowanie ich nie mogłoby w żadnym razie zapobiec szkodom, ewentualnie wyrządzanym na wiosnę. Wówczas bowiem udają się na wschód lub na północ. Niechaj zatem bez przeszkód lecą w swe strony!

Byłyż to wszystko okazje do zastosowywania polowania z puhaczem? Na równi z miłośnikiem przyrody musi i praktyczny myśliwy na pytanie to odpowiedzieć bezwzględnie przecząco; koniec końcem jednakże nadchodzą dnie takie, w których upierzony towarzysz myśliwski może znaleść zastosowanie. Kiedy wczesną wiosną wracją te wrony, które zimą były nieobecne i zamierzają się znowu w swej ojczyźnie osiedlić, wówczas należy polować z puhaczem. Rzecz zrozumiała, że niemożliwem jest odróżnić odlatujących, spóźnionych gości zimowych, respective wrony przelotne od wron stałych, owych przyszłych wrogów stanu zwierzyny drobnej. Częste uczęszczanie do budek jest wówczas nakazem chwili, na znaczniejsze rezultaty można bowiem liczyć tylko przez krótki czas.

Lęgowe wrony parzą się bardzo wcześnie i wówczas nie można już tak łatwo wykorzystać ich nienawiść do puhacza. Raz po raz coprawda zjawiają się parki, lecz w pewnej odległości ostrożnie zbaczają, by zapaść na poblizkiem drzewie i zadowolić się rolą cichego obserwatora. Nieraz zapadają w pobliżu na żerowiska, bacznie śledząc puchacza — polowanie jako takie już się nie udaje. Jeżeli się jednak weźmie pod uwagę, że w odniesieniu do wron lęgowych znajdują zastosowanie żelaza, a w razie potrzeby nawet trucizna, to mimowoli nasuwa się pytanie, czy polowanie z puhaczem ma dzisiaj wogóle rację bytu. Mam — jak już wspomniałem — silne przekonanie, że straciło ono prawo istnienia jako pomocniczy środek do zwalczania drapieżników. Wcale bowiem nie mamy zamiaru strzelać drapieżników a w każdej, przed puhaczem ubitej, wronie nie upatrujemy już dzisiaj kroku naprzód na drodze hodowli!“ (Hüttenjagd einst und jetzt — von Kiessling, Deutsche Jägerzeitung Nr. 21. Bd. 88).

Cytuję w dalszym ciągu urywki z innego artykułu:

„W ostatnich czasach określano polowanie z puhaczem często jako nieracjonalną metodę polowania, która przyczynia się do opustoszenia natury i, której dla tej przyczyny nie można pogodzić z dążeniami ochrony przyrody.... Niektórzy myśliwi

niezmordowanie piętnują „masowe mordy", dokonywane za pomocą puhacza. Otwarcie mówiąc, uważam, że jest to śmieszne. Każdy sposób polowania można wykonywać po myśliwsku i nie po myśliwsku, właściwie i nie właściwie; zależy to właśnie jedynie od osoby polującego. Niby — myśliwi i strzelcy nie powinni mieć ani z puhaczem ani wogóle z polowaniem nic do czynienia....

.... Naturalnie, myśliwy w budce musi posiadać tyle charakteru, że nie skrzywi palca, widząc szlachetne i może rzadkie ptaki i wogóle nie będzie strzelał wszystkiego bez wyboru.... Jeżeli zjawi się jakiś rzadki ptak, n. p. orzeł, sokół wędrowny, ruda kania lub tp., to nadarza się prawdziwemu myśliwemu jedyna korzystna okazja obserwowania z bezpośredniego pobliża owych, tak ostrożnych i rzadkich drapieżników i rozkoszowania się ich wspaniałym lotem i śmiałymi atakami. Przecież nie zawsze trzeba strzelać! Kto nie umie się do tego stopnia opanować, aby nie strzelać i poprzestać na obserwacji rzadkiego okazu, kto nie jest w stanie nie tykać fuzji, by tylko patrzeć — ten nie jest myśliwym, lecz strzelcem.....". (Hüttenjagd — von Ernst Joseph Ueberacker — Deutsche Jägerzeitung — Nr. 14. Band 88).

Inni autorowie zastanawiają się nad możliwościami odstrzału wron z budki, które zależnie od pory roku i innych, do tej pory bliżej niezbadanych czynników, często w bezpośrednio po sobie następujących dnich zachowują się zagadkowo odmiennie. Czasami z furją atakują puhacza, innym natomiast razem przy niezmienionych warunkach zdają się nim bardzo mało interesować.

Cytowani autorzy zgodnie podkreślają, że polowanie z puhaczem należy do tej kategorji czynności, które koniecznie wykonywać winien właściwy człowiek na właściwem miejscu. Słusznie zupełnie, nieuświadomieni myśliwi lub bezmyślni strzelcy, jak również tacy, którzy dopiero zamierzają posiąść sztukę strzelania, wprawiając się na lotnych, żywych celach, będą w myśl karygodnie wpojonych im zacofanych zasad istotnie strzelali do wszystkiego, co im się pod lufę nawinie. P. R. natomiast zaleca rzeczowy sposób polowania, „młodym adeptom myśliwstwa" — dalej „każdemu obeznanemu z bronią i jej użyciem" — i podkreśla jako dodatnie strony używania puhacza wypchanego, że „przy użyciu go przez strzelca niezbyt wprawnego lub zbyt gorącego nie naraża się puhacza na ponowną . . . . śmierć". Wygłaszanie tego rodzaju teorji nie mogę nie nazwać conajmniej wielkim błędem; każdy bowiem, nawet najzacieklejszy wróg drapieżników zgodzi się z tem, że drapieżnik drapieżnikowi nie równy, czyli że istnieją pomiędzy nimi gatunki mniej lub więcej wymagające ochrony, jak również przyzna każdy, że chcąc nie chcąc poczuwać się musimy do prawie doszczętnego wytępiania niektórych gatunków. Ale i te

ostatnie okazy chętnie poświęca p. R. dlatego tylko, by młody adept myśliwstwa miał podczas wakacyj zajęcie. Bo przecież p. R. chyba nie wymaga, aby zbyt gorący strzelec, który w zapale nie umie nawet oszczędzić własnego puhacza miał być na tyle uświadomiony, by nie strzelał może ostatnich przedstawicieli danych gatunków naszej skrzydlatej fauny. Lecz p. R. posuwa się jeszcze dalej, zalecając odstrzał drapieżników jako środek poznawania dotąd nieznanych drapieżników. Logicznie dalej rozwijając zapatrywania p. R., musi tenże widocznie aprobować cdstrzał wszystkiego w takimż celu; a więc obserwacja na poblisk m drzewie ewentl. zapadłych ptaków nie wystarcza. Trzeba koniecznie wszystkiego ręką dotknąć, by dopiero wówczas móc się pochwalić, że się dany gatunek poznało. A że młody adept myśliwstwa, przybywająćy na wakacje i strzelając w braku lepszego zajęcia może bardzo mało orjentować się w zoologji, zatem wolno mu, w myśl wspaniałomyślnej pobłażliwości p. R. strzelać również dzięcioły, śpiewaki, ewentualnie jelenia — albinosa, którego jeszcze nie widział i zatem sądzi, że to jakiś nieznany gatunek, dalej ostatniego bobra, łosia i t. d. Wszakże, chcąc okazy owe poznać, musi je ubić, i to „po jednej sztuce każdego gatunku czy odmiany“ (nr. 10 nin. pisma r. 1927, str. 599 -- 6 wiersz od dołu). A że za odmiany poczytane być mogą przez wszystkich „obeznanych z bronią i jej użyciem“, wszelkie różnice w upierzeniu, których skala jest u drapieżników w łonie jednego gatunku i u okazów równej płci bardzo wielka, a pozatem często wybitnie różni się i wielkością i upierzeniem samica od samca i różnemi cechami różnią się pomiędzy sobą w poszczególnych fazach w młodym wieku — zatem, w imię nauki, strzelaj człowieku, byle lufa nie pękła. Gdyby ostatni żubr został zastrzelony w Białowieży poto, by jako wypchany okaz zostać umieszczonym w muzeum nadleśnictwa, to — chcąc brnąć dalej według nieubłaganych zasad logiki — musiałby p. R. takiemu czynowi z głębi serca przyklasnąć. Jak różne są zatem normy, stosowane do poszczególnych gatunków zwierzyny! Nikt bowiem do bażantarni lub do ostoji sarn nie wpuściłby początkującego partacza, by na żywych okazach zdobywał wprawę w strzelaniu, drapieżników, natomiast wolno ranić lub ubijać, by po przyjrzeniu się im rzucić je w kąt. Rzecz prosta, że gdyby drapieżniki stanowiły intergralną część lukullusowej uczty, to wówczas wszyscy apostołowie materjalnych zysków, zazdroszczący drapieżnikom każdego trznadla, podnieśliby zgodnym chórem larum i piętnowaliby przy każdej nadarzającej się okazji nieludzkie, nieoględne, barbarzyńskie, nieekonomiczne i t. d. postępowanie strzelców — rekordzistów. —

W swym zapale popierania nauki p. R. zapytuje mnie (nr. 10/27 nin. pisma, str. 599 wiersz 26 i dalsze) czy uczyłem się entomologji na okazach, fruwających w powietrzu. Odpowiadam:

nie zdałbym napewno egzaminu, gdybym znał tylko takie okazy, które widziałem żywe lub w gablotkach. Przyrodnik n. p. musi się orjentować w faunie i florze całej kuli ziemskiej, znać musi zatem okazy ze szczytów gór i z głębin morskich, z północy i południa, musiałby zatem, chcąc zdać egzamin, jeździć po całym świecie, by conajmniej zwiedzić wszystkie zbiory muzealne, choć wątpliwe, czy i tam znalazłby wszystko to, co byłoby mu potrzebne. Na to istnieją podręczniki, za pomocą których uzupełnia studjujący swe wiadomości w naturze. Istnieją też dzieła traktujące o drapieżnikach i zawierające wiele rycin, do których zajrzawszy, można pozostawić przy życiu niejednego ich przedstawiciela. Dziwna rzecz, że wszędzie tam, gdzie nieoględne postępowanie uczącego się mogłoby pociągnąć za sobą straty materjalne, nie tylko dopuszcza lecz wymaga się wprowadzenia początkującego do nieznanej nam dziedziny przez doświadczonego fachowca i stawia się jako warunek posiadanie pewnej dozy przysposobienia teoretycznego. Rolnik, leśnik, lekarz, chemik czy maszynista muszą przejść okres nauki teoretycznej i praktycznej, pozdawać egzaminy, uzyskać dyplomy, by dopiero wówczas móc wykonywać swój proceder. Tylko myśliwy może odrazu rozpoczynać od rzezi i ma bez wskazówek i ostrzeżeń uczyć się kosztem wyrządzanych przezeń szkód. Do iluż bowiem szkód przyczyniają się w przyrodzie nieuświadomieni „fachowcy" na tle manji drogo opłacanego uczenia się i kolekcjonowania, niechaj p. R-emu objaśnią najwięcej do tego powołani ludzie, t. j. przyrodnicy. A są to nieraz szkody niepowetowane, wyrządzone naturze, sobie, całej ludzkości i przyszłym pokoleniom. Ci, którzy o rozkładach, uzyskiwanych przy polowaniu z puhaczem przez trwających w błędzie praktyków, lub ludzi złej woli, nie sądzę z teorji lub opowiadania, lecz tak jak ja z praktyki, przyznają, że w wywodach moich niema ani cienia przesady. Przed wojną byłem świadkiem, w jak niesłychanie szybkim tempie za pomocą tylko polowania z puhaczem może postąpić dzieło zniszczenia. Gdy bowiem odnośny leśniczy w odstrzale drapieżników w początkach uzyzkiwał rekordy, zdobywając od kilkanastu do kilkadziesięciu okazów codziennie, to już po dwóch latach zastrzelił w całych okrągłych dwunastu miesiącach zaledwie 28 drapieżników, w tem napewno znaczny odsetek ptaków przelotnych. Pamiętać należy, że przed wojną w Wielkopolsce i na Pomorzu zarządzono tępienie drapieżników bardzo intensywnie i wszelkiemi metodami. Stan ich przedstawiał się też w odniesieniu do wielu gatunków opłakanie, i poprawił się dopiero częściowo wskutek światowej wojny. Czasokres ten również dopiero przyczynił się do pogłębienia znajomości roli, jaką drapieżniki odgrywają w świecie zwierzęcym. Tem więcej rażą w tych okolicznościach zapatrywania p. R., w myśl których nawołuje on do ogłoszenia w całym kraju ogólnego tępienia

drapieżników i wysokiego premjowania odstrzału, oraz apeluje do „każdego właściciela czy dzierżawcy polowania, każdego myśliwego i adepta myśliwstwa“ żeby „sobie poczytywali zawsze za najpierwszy obowiązek myśliwski jaknajintensywniejsze tępienie na własną rękę przy każdej sposobności i wszelkimi dozwolonymi środkami czworonożnych i skrzydlatych wrogów i niszczycieli zwierzostanu“.

Zacytowane artykuły potwierdzają również, że nie ja sam doświadczyłem wielu trudności przy ubijaniu wron z budki. Wyniki są czasem świetne, czasami minimalne. To też z tych względów, pamiętając również o grzechach, które liczni myśliwi polując z puhaczem, popełniają w odniesieniu do drapieżników, zaznaczyłem w styczniowym numerze nin. pisma z r. 1927 iż polowanie to nie jest idealne, przyznając dalej, że pozostaje racjonalnem, jeżeli ma na celu odstrzał wron. Zestawienie owych dwóch pojęć — nieidealne i racjonalne — posłużyło p. R. do tendencyjnego zestawienia, mającego świadczyć o chaotyczności mych wywodów. (Ciąg dalszy nastąpi).

Różne.

Spis wszystkich lasów prywatnych, komunalnych, kościeln. i fundacyjnych

w województwie Śląskiem, Poznańskiem, Pomorskiem, Łódzkiem, Krakowskiem, Lubelskiem, Kieleckiem, Poleskiem, Wileńskiem, Nowogródzkiem, Lwowskiem i Tarnopolskiem

o powierzchni ponad 50 ha według stanu z 1924 r.

Zestawił W. PRZYBYLSKI.

(Ciąg dalszy.)

UWAGA: Nie mogąc, z przyczyn od Redakcji niezależnych, kontynuować spisu lasów województwa Lwowskiego, przystępujemy niniejszem do druku spisu lasów w województwie Tarnopolskiem.

Licz. bież.	Nazwa lasu	Właściciel	Obszar ha
		Powiat Złoczów.	
1.	Gołogóry	OO. Dominikanie	1078
2.	Toporów	Hr. Baworowscy	6397
3.	Podhorce	Ks. Sanguszko	1669
4.	Sobolówka	Rz. kat. Probostwo Olecko	377
5.	Łuki	Romańscy	136
6.	Biały Kamień	SS. Miłosierdzia	1280
7.	Kołtów	Hr. Gołuchowska Zofja	1900
8.	Firlejówka	Schnell Karolina	355
9.	Firlejówka	Schnell Oskar	80
10.	Pobocz	Gold	1032
11.	Otluchów	Francos	176

Licz. bież.	Nazwa lasu	Właściciel	Obszar ha
12.	Strombaby	Obertyński	105
13.	Podhorce	Gmina	118
14.	Przewłoczna	Gmina	67
15.	Horodyłów-Bilniów	SS. Miłosierdzia	280
16.	Bełzec-Olecko	Jasiński	57
17.	Lackie Małe	SS. Opatrzności	2621
18.	Zamle	Eidelberg	311
19.	Kutkosz	Hr. Wodzicki	718
20.	Konty	Gniewosz	597
21.	Żuków	Lukaczer	326
22.	Pietrycze	Jasiński	219
23.	Krasne	Rusocka	353
24.	Poczupy	Schapiro	67
25.	Koropiec	Aszkenazy	153
26	Strutyn	Wikurski	126
27.	Strutyn	Danielski	70
28.	Biały Kamień	Gmina	78
29.	Zarwanica	Türhaus	101
30.	Podlipie	Kostheim	60
31.	Ścianka	Ruth	80
32.	Snowicz	?	około 300
	Powiat Zborów.		
33.	Olejów	Hr. Wodzicki	889
34.	Jeziorna	Jampoler	201
35.	Perepelnik	Wolski	238
36.	Zagórze	Gmina	103
37.	Pomorzany	Gmina	505
38.	Zagórze	Garapich	762
39.	Łukowiec	Udrycki	545
40.	Huszcze	Zawidowski	406
41.	Trościanice	SS Miłosierdzia	351
42.	Poludkany	Hr. Potocki Jerzy	2647
	Powiat Trembowla.		
43.	Janów-Młyniska	Hr. E. Borkowska	1420
44.	Strusów	Hr. M. Borkowska	900
45.	Darachów	Dr. J. Somerstein	560
46.	Podhajczyki	Hr. Koziebrodzki	392
47.	Skomorowce	Rz. kat. Prob. w Budzanowie	112
48.	Kulczyce	SS. Miłosierdzia	124
49.	Janów	Rz. kat. Prob. Stefaniaki	69
50.	Iwanówka	Szotarski	107
51.	Semenów	Hr. Koziebrodzki	73
52.	Trembowla	Gmina	1144

Licz. bież.	Nazwa lasu	Właściciel	Obszar ha
53.	Budzenów	Hr. J. Baworowski	688
54.	Mogielnice	Dr Hauptmann	251
55.	Łoszniew	Fundacja Hr. Baworowskich	934
		Powiat Zaleszczyki.	
56.	Torskie	Hr. Łosiowa	314
57.	Konyłowce	Niemirowski	360
58.	Dźwiniacz	Wartanowicz	141
59.	Uścieczko	Ks. Lubomirski	120
60.	Sinków	Hr. Gołuchowski	526
61.	Lisowce	Wituszko	141
62.	Teklówka	Kleiner Wituszko	130
63.	Olchowce	Romanowski	125
64.	Myszków	Albinowski	97
65.	Myszków	Skibicka	87
66.	Szypowce	Fund. Stupnickich	122
67.	Uhryńkowce	Kimelman	100
68.	Winiatyńce	Brykczyński	158
69.	Brzeżanka	Łukasiewicz	158
70.	Lutucz	Krasnopolski	483
71.	Drohiczówka	Cieński	300
72.	Gródek	Spadkob. Hr. Borkowskiego	132
73.	Milowce	Gordinger	92
74.	Leńcenniki	Bohosiewicz	198
75.	Zaleszczyki	Tillman?	963
76.	Beremiany	Heydel	165
77.	Dupliska	Jakubowicz	282
78.	Czarnogród	Ks. Lubomirska	1008
79.	Burakówka	Cieński	204
80.	Szutromińce	Fund. Hohendorfa	290
		Powiat Tarnopol.	
81.	Mikulińce	Rejowa	1017
82.	Myszkowice	Fundacja Hr. Baworowskich	239
83.	Horodyszcze	Cieńska	130
		Powiat Skałat.	
84.	Serock	Hr. Baworowski	144
85.	Kamionki	Jerzy Fedorowicz	200
86.	Błopanówka Chmieliska	Joel Hausner	262
87.	Kaczorówka	Ksawery Jaruzelski	264
88.	Kokoszyńce	Spadkob. Kozłowskiego	222
89.	Krasne	Malinowa	115
90	Krasne	Wanda Siedlecka	180
91.	Stawki	Zofja Ujejska	90

Licz. bież.	Nazwa lasu	Właściciel	Obszar ha
92.	Luka Mała	Kieszkowska Nikodema	113
93.	Iwanówka	Hr. Pinińscy	287
94.	Werbyczna	Hr. Leon Piniński	248
95.	Grzymałów (Podlesie)	Wolańska	405
96.	Okno	Jerzy Fedorowicz	175
97.	Touste	„ „	300
98.	Orzechowice	„ „	150
99	Ostapie	Aleksander Zaleski	410
100.	Ostapie	Hr. Koziebrodzki	40
	Hlibów	„ „	240
101.	Rożyska	Grocholski	115
102.	Nowosiółki Grzymałów	Majer Hager	162
103.	Rasztowce	Majer Weissglas	382
104.	Wolica	Markus Kincelman	550

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Do numeru tego dołączamy jako dodatek arkusz powieści p. W. Janta-Połczyńskiego p. t.: „Św. Eustachy".

REDAKCJA.

Redaktor odpowiedzialny za dział Przeglądu Leśniczego Józef Ziółkowski.